

DREŻEK

Siadła pszczołka na jabłoni i zapylila kwiat,

Czemu żeś mi, moja miła, zawiązała ten świat?

Jam ci świata nie wiązała, zawiązał ci go ksiądz,

Jam cię tylko pokochała, tyś mnie nie musiał wziąć.

I śmiać się chciało, i płakać Zofii Jemiole, gdy patrzyła w błękitne oczy swego świeżo poślubionego małżonka. „Za dużo szczęścia naraz”, powtarzała w myślach, „zbyt dużo naraz”.

Jej drewniany dom, zbudowany rękami dziada i ojca trzydzieści lat wcześniej, nie pamiętał jeszcze tylu emocji pod swym krytym gontem dachem. Tylu łez szczęścia, tylu śmiechów, pisków, wrzasków, dźwięków harmonii i śpiewu. Śpiewali wszyscy i cieszyli się ze szczęśliwego zakończenia, w dużej izbie aż gęsto było od wczesnowiosennego upału, oparów alkoholu, zapachu świeżo uwędzonej kiełbasy, bigosu i potu tańczących. Na niespełna dwudziestu metrach kwadratowych pomieściło się pół wsi, drewniane ławy skrzypiały pod ciężarem weselników, powietrze wrzało, a Zośka myślała, że zaraz wybuchnie od nadmiaru – dostała to, o czym marzyła, czego pragnęła skrycie i jawnie, a dziecko w brzuchu również tańczyło, najprawdopodobniej tak samo radosne jak matka, że jednak tatusia nie zabraknie.

Na zewnątrz dużej izby, w alkierzu, leżała matka Zosi, Regina, i nasłuchiwała hałasu dobiegającego zza drzwi, co rusz częstowana to mięsem, to bigosem, to plackiem drożdżowym, cieszyła się córczynym szczęściem i miała nadzieję, że wyszła córa za mąż za kogoś dobrego, tak jak jej szczęśliwie się to udało. Sparaliżowana od wielu lat zawsze mogła liczyć na swego wybranka, który z troską zajął się nią jak anioł, jak najlepszy opiekun i pielęgniarz, prawdziwy bohater i towarzysz trudnego, pełnego zmartwień życia. Matka wierzyła z sił swych wszystkich i całego serca swego, że jej dwudziestopięcioletnia Zosia trafiła na człowieka z podobnej lepionego gliny.

Na piecu w kuchni pomrukiwał kot, z brzuchem pełnym najtłustszego mięsa, na gęsto tkanej firanie odpoczywały brzęczące muszyska, upite słodyczą gdzieniegdzie rozlanego wina porzeczkowego, trzymanego w sieni na specjalne okazje, na ganku siedziały cichutko pod miotłą myszy, tego dnia pewne odroczenia kociego wyroku, a na podwórku psy wyły do księżycy w pełni, czując radosne emocje buchające z otwartych na oścież okien i drzwi domu. Pies Perełka, biała, mała, niewinna jak lilia i pies Murzyn, duży, czarny, szczekający z okazji i bez okazji, brały udział w weseleniu się, jedząc frykasy niespotykane w codziennej diecie, złożonej ze zlewek, kości i nie zawsze czystej wody.

I w chlewie świni radośnie chrupkały, i za miedzą krowy odczuwały podniecenie, i świerszcze inaczej grały, i kwietniowe łąki ładniej pachniały tego wyjątkowego dnia. Całe obejście czuło i cała wieś Drężek w powiecie myszynieckim wiedziała, że córka sołtysa, Zofia Jemioła *de domo* Grzyb już dłużej panną nie będzie i wstąpiła w święty, sakramentalny, przez Boga przypieczętowany, nierozzerwalny związek małż-

eński.

A przecież nic nie zapowiadało takiego właśnie finału. Jeszcze miesiąc wcześniej nie do śmiechu było Zośce, o nie. Bliżej była krańcowej rozpacz, nie wiedziała, w którą udać się stronę, gdzie szukać pomocy, ukojenia, wybawienia. Każdy dzień zaczynała płaczem i płaczem kończyła, w cichości, samotności i tylko przez chwil parę, bo nie miała czasu na łzy, gdy tyle w domu i zagrodzie roboty. Ocierała te, które miały szansę wypłynąć, wierzchem spracowanej dłoni, szła dziarskim krokiem do roboty, bo krowy były z bólu, domagając się udoju, bo matce trzeba prześcieradło wymienić, bo kurom dać owsa a świniom ziemniaków. Nie miała czasu na zastanowienie się, co uczynić z rosnącym brzuchem, który pozostawiał coraz mniej wątpliwości. Już od jakiegoś czasu podejrzewała, że TO jest nowym życiem, że nie burczy jej z głodu, że TO się domaga uwagi i prawdopodobnie będzie rośło. Wymioty, brane za niestrawność po przejedzeniu się kiszonymi ogórkami, jednak oznaczały, że się stało coś, co się nie odstanie i samo nie przejdzie niczym zgaga po sutym obiedzie.

Męczyła się Zosia sama, tymczasowo ścisnęła bandażem, bo cóż począć, nie wiedziała, a o radę spytać nie chciała. Bo co poradzi ojciec, gdy tak go zawiodła, z brzuchem przyszła, co matka poradzi, sama wymagająca opieki. Młodsze siostry mają mleko pod nosem i nic o życiu nie wiedzą, starsza na swoim, z gromadą drobiazgu, po uszy w kupach pieluchach cych oczekujących mlekiem. Zosia sama jak palec, bo ten, co TO zrobił, dawno w sieni dali gdzieś się podziwia, za górami, lasami, w odległości piętnastu niespełna kilometrów, ale i lata świetlne od zakochanej i brzemiennej dziewczyny.

Aż nagle któregoś dnia sprawa tak skrętnie skrywana ujrzała światło dzienne. Wścibska z natury i wszędobylska Władzia, młodsza siostra Zosi, wyszła z izby, informując, że idzie za Józką, najmłodszą, na pastwisko, aby wydoić krowy. Zosia jak zawsze miała w tym czasie matkę umyć i zrobić przy niej co trzeba. Władzia trzasnęła drzwiami wychodzącymi na ganek, po czym cichutko wróciła i przez dziurkę od klucza podejrzwała, jak siostrzyczka pracowicie, raz za razem, bardzo ściśło, owija swój wyraźnie wzdęty brzuch bandażem.

Ileż się wtedy łez połało, ile było krzyków, połajanek, błagań Zośki, by nic nie mówić ojcu – cóż zrobić, skoro będąc świadkiem sceny matka wiedziała, musiał się dowiedzieć i patriarcha. Władzia nie kryła świętego oburzenia, Zosia była wściekła, ale i ulżyło dziewczynie, że ciężar z serca będzie dzieliła od tej pory na kilka części, pomiędzy członkami swej licznej rodziny. Józka, najmłodszą, zorientowała się jedynie, że będzie w rodzinie nowy dzidzius, co przyjęła z radością, Czesiek nie bardzo wiedział o co chodzi, bo od dzieciństwa był słaby na głowę, ale się optymistycznie uśmiechał pod wąsem. A ojciec, jak nigdy, nie nakrzyczał, nie nawrzeszczał, nie spoliczkował. Gdy się dowiedział o sprawie, zaraz po przyjściu z obory, milczał jak zakłęty, chwilę posiedział, napił się herbaty z cukrem, wstał, założył czapkę i wyszedł.

Zosia była tym bardzo zaniepokojona. Świat się skończył, grunt osunął spod nóg. Chciała się zaszyć gdzieś, gdzie słońce nie dochodzi, zniknąć, ulotnić, roztopić jak śnieg na przedwiośniu. Wolałaby najgorsze obelgi, słowa, które będą ranić jak noże, ale milczenie – bardziej bolało.

Czekała na ojca długo, zegar z wahadłem tik tak odmierzał sekundy, minuty, godziny, palce wyłamywała i ledwo rejestrowała kątem ucha matki pocieszenia. Władzia, kryjąc się przed jej gniewem, próbowała gotować obiad, lecz spoglądała na siostrę z lękiem, wzdychała, czując coś najbardziej zbliżonego do wyrzutów sumienia.

Po kilku godzinach, wieczności całej, wrócił ojciec. Czapkę położył na stół, Kazik podbiegł, by odwieść

ją na specjalnie do tego przeznaczony wieszak w ganku. To należało do obowiązków dzieci państwa Grzybów od zawsze – ojca czapka miejsce miała na wieszaku, niezależnie od tego, gdzie się ojcu spodobalo ją odłożyć.

Ojciec Władysław zatem siadł przy stole, milcząc, zjadł ziemniaki i zupe, wysmarkał się w chustkę i odchrząknął kilka razy. Dziewczyny siedziały też w milczeniu, lękliwie spoglądając to na siebie, to na widok z okna, to na zegar, czekając na wyrok, który, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, za chwilę zostanie ogłoszony.

„Spodoba wam się to, czy nie spodoba”, tymi słowy zaczął Władysław, „trzeba nam się wybrać do tego twojego kawalera, Zosia. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą i niechaj on także te wióry sprząta.”

Na te słowa Zośka wstała z krzesła, jak prądem rażona, energicznie przyklękła na oba kolana obok ojca, wyszlochała „dzięki, tatku”, złapała jego szorstkie dłonie, wtuliła w nie mokre od łez policzki i ucałowała. Tata podniósł ją z kolan, powiedział „no już dobrze, dobrze”, nakazał zdjąć raz na zawsze bandaże i jutro z samego rana szykować się na podróż. Zosia, leciutka jak piórko mimo zwiększonej przez ciężę masy, udała się do izby, żeby nareszcie wyswobodzić się z kamuflażu i z pełną godnością ukazać świadectwo swojej podwójności. Za chwilę przyszły za nią siostry, wyściskały Zosię, pogłaskały brzuch, śmiały się i cieszyły, robiąc zakłady, czy chłopczyk, czy dziewczynka kryje się w łonie przyszłej matki. Światło zaświeciło nad losem dziewczyny, cieszyła się tak, że aż jej dech zapierało. Marzyła o tym, by jeszcze raz ujrzeć tego, którego pokochała miłością najczystsza, mimo że tak bardzo ją skrzywdził, nie dając znaku życia od ich spotkania tamtego gorącego lata.

Następnego dnia rano Zosia zmyła z siebie resztki snu i szarą codzienność, wcisnęła się w swoją i jego ulubioną sukienkę – chabrową, szczęśliwie odcinaną pod biustem, dzięki czemu pomieścił się jej cały wielgachny sześciomiesięczny brzuch. Mając metr pięćdziesiąt w kapeluszu i znikome skłonności do ty-cia toczyła się ciężarna Zosia po świecie jak zwinna mała piłeczka, skoczność i żywotność jej pozostały, cięża wypiętrzyła jedynie himalajski szczyt w samym środku kompaktowej sylwetki. Ruchem szybkim, zgrabnym i powabnym chwyciła kosz wiklinowy z domowymi przetworami, bo w gości nie wypada bez prezentu, wskoczyła na wóz zwany żelaźniakiem, ignorując pomocną dłoń ojca, wymościła się na ławie i ruszyli razem w drogę, ojciec, córka niecierworodna i mimo wszystko niewyrodna oraz kobyłka Basia, żywo reagująca na każde „wio” i „pr” doświadczonego woźnicy.

Jechali piachem, mijając po drodze pola, łąki, drzewa, kapliczki i chałupy, nietknięte jeszcze przedwio-śniem, lecz nostalgiczne i brudnoszare, jak to na koniec zimy bywa na mazowieckiej ziemi. W rowach kałuże i niedopałki, puste po bimbru butelki, pozostawione okrycia wierzchnie po tych, co polegli na polu pijackiej chwały. Zosia, milcząc, myślała coraz bardziej intensywnie, coraz bardziej ponuro, melancholij-nie i smutno, dostrajając się do otaczających ją obrazów. „Nie chciał mnie bez dziecka, to i z bachorem nie weźmie”, lękała się i drżała jak osika. „Jak nie zechce, to się zabiję, jak Boga kocham, zabiję się”, taką powzięła decyzję stanowczą. Nie dzieliła się swymi rozterkami, serce jej waliło jak dzwon na sumę w kościele, ciężko, miarowo i nieodwołalnie przeczuwając katastrofę, koniec świata lub co najmniej jed-nego człowieka, jeśli nie liczyć nienarodzonego.

Gdy zajechali do Czarni, Władysław zatrzymał konia, uwiązał do drzewa rosnącego nieopodal gospodar-stwa Jemiołów, przytroczył torbę z owsem do końskiego zmęczonego łba, po czym z szacunkiem god-nym prawdziwej damy pomógł córce wygramolić się z wozu i z niejakim wdziękiem dosięgnąć bezpiecz-nego podłoża. Weszli ramię w ramię przez bramę, a tam nadworni szambelani, czyli psy sztuk dwie nie-całe, bo jeden z oberwanym uchem i bez jednej nogi, obwieścili wściekłym ujadaniem nadejście gości.

Jemiołowie mieli jednego syna na gospodarce i trzy córki, dzieciate, mężate i wciąż na kupie w rodzinnym domu, z mężami nie bardzo kult pracy wyznającymi. Traf chciał, że w czwartek, dzień targowy, córki wraz z rodzinami i rodzicami wybrały się do Myszyńca, głównego ośrodka w najbliższej okolicy, a domu pilnował Konstanty Jemioła, sprawca doli i niedoli, przyczyna wszelkich zgryzot i rozkoszy panny Zofii Grzybówny.

Usłyszawszy hałas wyszedł ów Kostek z chlewa, gumowce miał utyłane w gnoju, jak to przy pracy, ręce brudne. Wzrok jego był chmurny, wyraz przepracowania malował się na młodym przystojnym obliczu, patrzył chłopina niewidząco w przestrzeń, aż dostrzegł parę niespodzianych gości i z niedowierzania oraz zaskoczenia potknął się o wystający konar.

Goście podchodzili z wahaniem, nieśmiało, gospodarz, gdy się nareszcie spionizował, przestępował z nogi na nogę i w końcu cała trójka spotkała się mniej więcej pośrodku – przy bramie oddzielającej oborę od podwórka, na którym stał drewniany dom, podobny do Zosinego jak brązowy kundlek z tego samego miotu.

Gospodarz z szacunkiem zdjął czapkę, kulturalnie wytarł brudne ręce o spodnie i przywitał się z Władysławem, nie śmiąc spojrzeć w oczy swej niedawnej miłości. Dziewczyna spłonęła rumieńcem, ciągle niepewna, wóz czy przewóz, lecz gdy już złapała wzrokiem jego wzrok, w którym wciąż się tliły i żar, i czułość najtkliwsza, wiedziała, że jeszcze się będzie śmiała z niedawno powziętych planów na śmierć, a nie życie.

„Pochwalony Jezus Chrystus”, przywitał się Kostek, „wchodźcie wuj do domu, zapraszam”.

„Na wieki wieków”, Władek odpowiedział na pozdrowienie, wytarł buty w ganku, wszedł do sieni, a za nim wtoczyła się Baryłeczka nadzieją tak bardzo napelniona, jak wyraźnie przy nadziei będąca.

Usiedli przy stole, wymienili zwyczajowe uwagi o pogodzie, cenach żywca i zboża, ponarzekali, podrapali się w głowy i gdy już nie było wyjścia, bo dłużej trudno uciekać wzrokiem od pewnego okrytego chabrowym niebem brzucha, przeszli do rzeczy.

„Widzisz, synu, coś mi się wydaje, że nie tylko wianka moją córkę pozbawiłeś, ale i zostawiłeś po sobie co nieco. Nie tego się po tobie, Kostek, spodziewałem. Ona mi ryczy całą jesień, żeś porzucił, zostawił, po kątach mi chlipie, a ty tu widzę całkiem nieźle sobie radę dajesz.”

Kostek poczerwieniał, nie wiadomo, czy z gniewu, czy ze wstydu, ale widać wyraźnie było, że mu tak nie w smak jak po nierozcieńczonej wódeczce bez popitki. Przełknął jednak pierwsze słowa i nikt już się nie dowie, jak by wybrzmiały, gdyby je usłyszeć, i rzekł do przyszłego teścia:

„A bom ja słyszał to i owo, coś niecoś mi tu ptaszki o Zosieńce doniosły...”, patrząc w podłogę sugerował nieśmiało.

„A cóż takiego żeś słyszał, chłopaku?”, Władek powoli się zagotowywał, jak zawsze stojąc na straży godności swojej ulubienicy.

„Bo podobno u was zdun nocowywał w październiku, z Zosią dużo przestawał, chodzili na tańce jakieś... I niezbyt mi Zosieńka wierności dochowała...” Ostatnie słowa niemalże szeptem Konstanty wyszumiał.

„O, kolego, takie rzeczy o mojej córce wygadujesz?! W plotki wierzysz, złych języków knowania?! A poszedł mi won z tej chałupy!”, Władysław już doszedł do temperatury wrzenia, Konstanty na łeb, na szyję począł uciekać z domu, lecz przypomniał sobie, że przecież to on jest gospodarzem i zatrzymał się, z wahaniem i wzrokiem błagalnym patrząc na dziewczynę.

Tej więcej nie było trzeba – gdy tylko usłyszała głos Kostka melodyjny, dźwięczny, delikatny, tak różny od głosu ojca, gdy widziała te błękitne jak dwa bławatki oczy, błędzący po wargach uśmiech i włosy jasne jak dojrzała pszenica, nic i nikt inny się już nie liczył. Pewnie, że przykro, że uwierzył w ludzkie gadanie, lecz któż by nie uwierzył – złe języki do niejednego doprowadziły nieszczęścia.

Prawdą było, że zdun u sołtysa Grzyba pomieszkiwał w końcu października, aby piec kaflowy przed mrozem podreperować, bo Roku Pańskiego tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego zima miała być długa i sroga. A że z pieniędzmi było, wiadomo, krucho, częstowano gościa z Zalesia czym chata bogata – a to jajeczniczkę na kielbasie dziewczyny smażyły, a to ciasto z tartych ziemniaków, na tłustej słoninie, rejbakiem zwane, piekły, grzybów leśnych, kurek, borowików, gąsek nie szczędziły, placki drożdżowe z kruszonką nawet na co dzień na stół wystawiały. Czasem, a jakże, i wódka się trafiła na miodzie, przysmak prawdziwy, z którego okolica od wieków słynęła. I po owej mioduszcze dostawał zdun Walenty małego rozumu – dalej córki sołtysa podszczypywać, za warkocze chwytąć, cmokać, mlaskać i głądzić, co by z którą zrobił, gdyby złapał. Siostrą okrutnie nie w smak było, końskie zaloty nijak do nich nie przemawiały, lecz tylko chichotały, ni to zmieszane, ni rozbawione, bo zduna gniewać nie chciały – za półdarmo pracował, podszczypywanki należały do warunków niepisanej umowy. Ojciec, sam rzadko i mało pijący, zamykał się w dużej izbie, żeby gazety przejrzeć, wydatki rachować, lecz córki czuły, że głównie po to, by przedstawienia wieczornego unikać. Oświadczył się był zdun w końcu Zosi, bo ona ze wszystkich cór najładniejsza i najbystrzejsza, lecz serce jej do innego już od paru miesięcy należało, więc mu ochoczo i z ulgą, że już następnego dnia pożegna namolnego adoratora, odmówiła. Struty odjechał jeszcze przed świtem i zapewne tu i tam szepnął słówko o Zosi niecnocie i godności braku.

O mały włos przez złamane serce zduna Walentego doszłoby do tragedii, lecz udało się znów spotkać Kostkowi i jego wybrance na tym łez padole. Podbiegła więc Zosia do ukochanego, nie bacząc na ojca, lecz zręcznie go wymijając, padła w ramiona, wtuliła głowę w jego koszulę, gdzie zostawiła łyzy, wszystkie smutki i myśli najczarniejsze, całą swą tęsknotę i samotność wychlipała mu w kołnierz, uśmiechnęła się i przyjęła Kostka na dobre i złe, ufając, że najgorsze za nimi.

Władek wiedział, że na tym się skończyła jego rola. Córka pójdzie za męża, dzieciak będzie miał ojca, a on czyste sumienie. Jednakże nie o takim zięciu marzył i nie takiego się spodziewał po Zosi wyborze.

Gdy zeszłego roku latem Konstanty coraz częściej począł odwiedzać dom Grzybów, coraz bardziej ojciec Zosi czuł, że z tego będą problemy. Nic jednak zrobić nie mógł – Zośka była w latach posunięta, uparcie nieskłonna, żeby poślubić to jednego, to drugiego kandydata, a o rękę się starali naprawdę poważni kawalerowie – i rzeźnik z samego Myszyńca, i listonosz, co prawda wdowiec i dzieciaty, jednak wykształcony, z zawodem solidnym, i syn sołtysa z Wykrotu, dziedzic kilku solidnych hektarów. Jednak uparta Zośka nie i nie, na miłość czekała jedyną, jak to dziewczyna, fiu bzdziu, kielbie we łbie. W końcu już wszystkie chłopcy pożenione, nikt w najbliższej okolicy niechętny, by się o Zosię starać, więc Władek machnął ręką i zgodził się w myślach, by robiła dziewczyna jak jej się spodoba, bo wiedział najlepiej, jaka z córki uparta kozuchna.

A lato było piękne tamtego roku. Cały lipiec i sierpień padało akurat tyle, by powietrze było świeże i czyste, lasy pełne jagód, łąki zielone długo i soczyście; z drugiej strony, aura była na tyle łaskawa, że ch-

łopi mogli spokojnie zebrać plony - bez przeszkód przebiegły sianokosy, żniwa i młócka, a dzięki przyjaźnej temperaturze około dwudziestu pięciu stopni Celsjusza nie zmęczyli się tak bardzo jak rok wcześniej.

Kostek przyjeżdżał do Drężka do ciotki każdego lata, aby jej w gospodarce pomóc. Taki panował zwyczaj – w okresie najbardziej wytężonej dla rolników pracy werbowano się nawzajem do pomocy, bo po wojnie brak było mężczyzn i silnych rąk do ciężkiej, niewdzięcznej roboty. Pola ciotki Lisowej graniczyły z pastwiskami państwa Grzybów, zatem od czasu do czasu chłopaki od Lisa i młode Grzybówny miały okazję zagadywać, pozdrawiać się, pożartować, bajek poopowiadać. Dziewczyny częstowały spracowanych chłopców wybornym kompotem z wiśni, oni odwodzili się pokazując, jak się gra na trawie żdźble, bo do tej pory nikt tego panienek nie nauczył. Raz jeden z Lisów, starszy Antek, wrzucił przeżalonej Józce żywą żabę pod koszulę, ale nie spotkało się to z aprobatą – takie zabawy dobre dla dzieciuchów, a nie chłopów z sypiącym się już, chciał nie chciał, wąsem.

Jednak Zosia już od kilku lat na jednego chłopca tylko zerkiała i na widok jednego serce mocniej biło. Tylko dla Kostka się stroiła i niecierpliwie go wyczekiwała każdego roku, a pierwsze oznaki lata podwójną ją napawały radością – raz, że lubiła wygrzewać się w słońcu jak jaszczurka, a dwa, że za parę zaledwie tygodni zawita do wsi jej cudne Słoneczko, chłopak zbożowłosy, radosny i piękny. Odkąd go zobaczyła w remizie, na weselu swojej najstarszej siostry, nie mogła przestać o nim marzyć.

Bo też mógł się dziewczynom Konstancy Jemioła podobać – chłop na schwał, ponad metr osiemdziesiąt, szczupły, gibki, w tańcu zdolny, a do tego – jak on grał na harmonii! Nogi same tańczyły i wyciągały człowieka zza stołu, usta same, nie wiedzieć kiedy, zaczynały śpiewać i już wszyscy, chłopci, kobiety, dzieci „siadła pszczołka na jabłoni” do zdartych gardeł wyśpiewywali. A Kostek dalej, dalej, szaleńczo, do utraty tchu, grał, śpiewał, śmiał się i cieszył, że takim zdolnym jest wodzirejem.

Również biedna Zosia nie oparła się urokowi niezwyklego chłopaka, i wzdychała do księżyca, gdy spać nie mogła, i rozmawiała z chłopakiem w swojej wyobraźni, ze smutków się zwierzała, gdy nikt inny nie miał czasu ani cierpliwości jej słuchać. Jej romans sekretny, tylko w głowie się rozgrywający, trwał już trzy lata, zanim i Kostek zerknął na nią nie jak na koleżankę, lecz kobietę.

Tego lata Konstancy uświadomił sobie, że samemu na świecie coraz mu markotniej. W domu zawsze gwar, ścisk, kłótnie o sprawy ważne i nieistotne, niby siostry na mężów narzekają, ale dbają jak pszczoły o trutnie – kaski najlepsze z obiadów zostawiają, mięso sosem szczerze polewają, a on jako kawaler coraz częściej czuł się odstawiony na boczny tor, pozostawiony samemu sobie, zdany na kaprysy losu i świata. Coraz rzadziej pytano, czy panna mu jakaś nie wpadła w oko, sporo spraw rodzinnych omawiano bez niego, siostry miały przed nim sekrety i nawet za ich niedawnym marudzeniem i babską zrzędlivością zdarzało mu się zatęsknić. A już najgorsze były wieczory – wszyscy, z wyjątkiem dzieci, sparowani, przytuleni, śmiali się cichutko lub kłócili, omawiali wspólne swoje sprawy, on mógł jedynie zakrywać uszy poduszką i chrapać głośno, że niby smacznie śpi. W głowie jednak rósł niepokój i pragnienie, by się wyrwać z domu rodzinnego, mieć własną żonę i matkę gromady dzieci, która by się nim zaopiekowała jak mamusia rodzona, uczuciem obdarzyła i dla niego, swego męża się stroiła oraz służyła wiktem, opiekunkiem i wygrzanym posłaniem.

I tak jakoś, współgrając z myślami, jakie chłopaka coraz częściej nachodziły, oczy jego nareszcie zatrzymały się na dłużej na krągłościach Zosi Grzyb i jej zgrabnej, malutkiej postaci. Doceniał jej wesołość, żywotność, jej zarciki i miłe dla oka, wdzięczne i szybkie ruchy. Lubił ją podglądać przy codziennej pracy, bo w najbardziej prozaicznych czynnościach widać było jej temperament – wydawało się, że mogłaby

swą energią obdarzyć pół wioski, taką iskrą i światełkiem była Zosia w oczach Kostka. Sam sobie się dziwił, czemu dopiero teraz tak bardzo go zafrapowała jej osoba, że ciągle ją miał pod powiekami, zasypiając i budząc się przed świtem, lecz doszedł do wniosku, że serce nie sługa i tak widać musiało być.

Zatem owego lata robił, co się dało, by jak najbliżej z Zosieńką obcować i jak najmilszym towarzystwem ją raczyć – uśmiechy słał słodkie, wyszlifowane przez lata dziewcząt na tańcach zagadywanie, anegdotkami sprawdzonymi sypał, aż dziewczyna do łez się zaśmiewała i nóżkami tupiała z uciechy, czasem posłał spojrzenie bardziej intensywne i namiętne spod rzęs firanek i coraz bardziej przeczuwał, że i Zosi nie jest obojętny.

Pewnego dnia fortelem się wprosił do domu Jemiołów, że niby plastry się ciotce pokończyły na poranione od trzymania kosy dłonie. Zosia akurat ogórki wekowała, zmęczona była okrutnie, bo matce od rana kilka razy musiała w potrzebach fizjologicznych asystować, a Czesiek lamentował bardzo i marudził, że go znów w Myszyncu na pieniądzach oszukali, wykorzystując ułomny jego rozum i dziecięcą naiwność. Widząc swe dziewczę ukochane w markotnym nastroju, Kostek wyczuł, że oto nadarza się sposobność, by pocieszyć, przytulić, zbliżyć się bardziej niż na odległość wyciągniętej ręki.

„Masz Kostek te plastry, kupiłam w aptece kilka rolek na lato. Daj ciotce, niech potnie wam na kawałeczki od razu, co by szybciej można było przykleić w razie czego.” Zośka zamknęła górną szafkę, zeszła z krzesła i niby obojętnym gestem podała mężczyźnie to, po co przyszedł, lecz nie mogła ukryć rumieńca i zmieszania, powodowanego pierwszym ich spotkaniem sam na sam. Konstanty wziął plastry, przytrzymał dłonie dziewczyny i spytał z troską, dlaczego taka smutna.

„Zosieńko, ty jak szczygiełek wesolutka zawsze, jak słoneczko na niebie świecisz, jak motylek chabrowy dzionki umilasz – czemuś ty smutna, pani moja?”

I tak jej już do uszka przez resztę lata szczebiotał, cmokał, czarował, wizje piękne roztaczał, twierdził, że nie wie, czy ona mądrzejsza, czy piękniejsza, zgrabniejsza czy cnotliwsza. Zosia nigdy w życiu całym nie słyszała tylu cudnych na swój temat słów, a tak hurtowo to jak dostać naraz miliony słodkich cukierków – aż mdliło ją z rozkoszy, aż się ulewało, lecz miał w niej Konstanty wdzięcznego słuchacza i całkiem szybko udało mu się zdobyć jej miłość, zaangażowanie oraz mocne postanowienie dozgonnej wierności.

Coraz trudniej było chować obopólne uczucie przed światem, coraz ciężiej rozstawać, chwile, które razem spędzali, pospieszne pocałunki i tulenia za stodołą, nad strugą, w cieniu kop siana nie wystarczały, by zaspokoić ich apetyt na bycie razem, dla siebie nawzajem jedynym istotnym bytem. Codzienne obowiązki drażniły oboje, doskwierał brak okazji, by wykroić chwilę na słodkie sam na sam. Dlatego w ich głowach powstał plan na chwilowe, subtelne zagięcie czasoprzestrzeni i uzyskanie jednego jedynego dnia, gdy będą mogli do woli się pławić w „ty i ja, i więcej nikt”.

Upragniony dzień nastał w ostatnią sierpniową niedzielę. Cała rodzina, jak zawsze, wybierała się do kościoła, jednak Zosia z samego rana oświadczyła ojcu, że nie pojedzie, ze względu na sprawy kobiece. Dotychczas korzystała z tej wymówki bardzo rzadko, dwa, może trzy razy w życiu, ojciec nigdy nie dopytywał, co dokładnie jej dolega i czy aby na pewno. Te rzeczy nie były dla męskich uszu, choć jednocześnie zawsze szanował prawo córek do takiego usprawiedliwienia. Wszystkie siostry były na tyle przytomne, by korzystać z niego z umiarem, od wielkiego tylko dzwonu. Zatem nie było dyskusji, Zosia jako jedyna została w domu, reszta, po porannej krzątaniu, stroiła się do kościoła.

Gdy wreszcie Władysław wziął żonę na ręce, delikatnie posadził na przygotowane dla niej miękkie po-

słanie na wozie, gdy Czesiek, Józka i Władzia usiedli na ławce okrytej dla wygody dzianą tkaniną, a głowa rodziny chwyciła lejce i dała Baśce znak do odjazdu, Zosia zniecierpliwiona i z sercem bijącym jak szalone odprowadziła wóz wzrokiem aż do samego zakrętu. Cieszyła się, że tak sprytnie wybrała datę, bo akurat siostra rodzona Władka, która mieszkała nieopodal myszynieckiego kościoła, miała imieniny, co oznaczało dłuższy pobyt rodziny w mieście, a jej pozwoli na spędzenie z Kostkiem niemożliwie dużo czasu.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, spotkali się przy umówionej jabłoni. Założyła ulubioną sukienkę, która sprawiała, że jej oczy wydawały się jeszcze bardziej zielone, a tej niedzieli mieniły się jak dwa szmaragdy. Kostek już na nią czekał, już ślinę ze zdenerwowania przetykał, oglądał papierówki, które zdążyły spaść z drzewa, szukając najpiękniejszej i najmniej obtłuczonej, by poczęstować dziewczynę. Trochę sobie pożartowali, chłopak wieszał się na gałęzi, pokazując, jaki krzepki i gibki, Zosia coraz bardziej niecierpliwa nie wiedziała, jak go ponaglić, by poszli do domu, bo przecież dziewczynie pospieszać nie wypada. W końcu Kostek otrząpął ręce z pyłu kory, jego wybranka rzuciła na trawę ostatni ogryzek i udali się w stronę domu, zmieszani jak dwoje dzieci przyłapanych na spijaniu ostatnich kropli alkoholu z pozostawionych po gościnie kieliszków.

Gdy doszło nareszcie do ich całkowitego zespolenia, pospiesznego i niezdarnego, dziewczyna z trudem kryła rozczarowanie. Wiedziała od starszej siostry, że boli, ale to nie stanowiło problemu – sęk w tym, że te króciutkie i dziwne ruchy, które Kostka przyprawiły niemal o brak przytomności, dla niej nie były niczym ciekawym ani ekscytującym – stokrotnie wołała pieszczoty, które podobno były zapowiedzią większych rozkoszy, jednak z balonu oczekiwać co do pierwszego razu powietrze uleciało jak z przebitej opony. Niefajnie było Zosię i niemiło, gdy leżała samotnie na pierzynie, a Kostek ni przytulił, ni pamiętał o jej istnieniu, opadłszy nieprzytomnie i chrapiąc miarowo, niby tuż obok, a jakże daleki. Zwlókła się z posłania, poszła podgrzać zupę, ukroiła sobie placka, zjadła na te smutki i czekała, aż jej książkę się obudzi.

Gdy już wstał, zaspany i szczęśliwy, z wielkim apetytem zjadł dwie porcje pomidorowej, zagryzł pętem kielbasy, beknął dyskretnie na stronie i oświadczył się oficjalnie. Obiecał, że jak tylko się do końca wyjaśni, do kogo należeć będzie po śmierci rodziców gospodarka, nie dalej niż w przyszłym roku, poprosi sołtysa o rękę córki. A do tej pory – listy słał będzie, odwiedzał w miarę możliwości i śnił o niej każdej nocy.

Już jej się lepiej zrobiło na te słowa narzeczonego, już większą satysfakcję odczuła, większą pewność, że jej jest ten kawaler na zawsze. I choć miała świadomość grzechu ciężkiego, niczego nie żałowała, bo lato, co się właśnie kończyło, było najpiękniejszym i najbardziej treściwym w jej dwudziestoczteroletnim życiu.

A potem przyszła jesień – codzienne czekanie na listonosza, coniedzielne wychodzenie na drogę i wypatrywanie, aż oczy szczypały, comiesięczne oglądanie bielizny w nadziei na pojawienie się krwi. Czuli się Zosia jak dzban obtłuczony, pęknięty, dziurawy – wydawało się, że wszyscy naokoło wiedzą o jej straconym na zawsze dziewictwie, o jej wzgardzonym uczuciu i cnocie minionej.

Nadeszła słota, pora tym razem podwójnie ponura, krótkie smutne dni i przeplakane noce. I jęła Zosia przemyśliwać, po co jej to wszystko było i na co. Chodziła struta, zła na ojca, że taki surowy zawsze i inny od jej złotego chłopca, wściekła na matkę, że ciągle leży i robić wokół niej trzeba, niecierpliwa dla brata, któremu wszystko tłumaczysz jak krowie na rowie po pięćdziesiąt razy, a on ciągle pyta „a dlaczego”, nieskora do rozmów wylewnych z siostrami, bo bała się, że się wyda to, co i tak się wydać musiało.

Oprócz tego zamartwiała się, czy u Kostka wszystko w porządku – czy nie chory, nie cierpi, nie pobity na jakiejś zabawie, lecz nie miała śmiałości zapytać ciotkę – lękała się, że da po sobie poznać, jak bliskie ich łączyły stosunki.

Ale co było, a nie jest, dawno już historią się stało i zaraz po weselu, Zosieńka jak w ukropie się uwijała, bo chciała przed narodzinami dziecka zdążyć z wyprowadzką z domu rodzinnego. Jak zawsze energicznie, mimo puchnących kostek i spadków ciśnienia, każących zwolnić nieco tempo ciężarnej, wybierała, przebierała, co może w posagu wnieść do małżeństwa – czego rodzinie zbywa, a jej będzie potrzebne w nowym domu, gdzie Jemiołowie uwiją gniazdko dla siebie i maleństwa. Siostry jej chętnie pomagały, matka służyła radą i doświadczeniem, dawała ostatnie nauki przed wypuszczeniem córki w świat. Bardzo się wszystkie cieszyły swoim towarzystwem, zapomniały o kłótniach, sporach, krzykach, których u Grzybów nigdy nie brakowało, chciały się rozstać w zgodzie i miłości i taki obraz rodzinny w pamięci zachować.

Tylko Władysław co wieczór wymykał się z domu rozegrać partyjkę szachów ze starym Lisem, nie mogąc znieść radosnej atmosfery, tak bardzo kłócej się z jego wewnętrznym niepokojem. Coś mu w tym grajku weselnym nie grało, coś drażniło jak piasek w zatartym oku. Czasem żałował wyprawy po szczęście córki, z czasem, obserwując jej zaradność, witalność, a Kostka w świecie zagubienie, nabrał przekonania, że jego latorośl silniejsza znacznie i lepiej w realiach osadzona byłaby bez tego mężczyzny z harmonią pod pachą i głową w chmurach.

Konstanty natomiast przyjeżdżał do żony kilka razy w tygodniu, wesoły jak kogucik, podśpiewujący, co rusz ją za wydęty brzuch obłapiający, kontrolować postępy w przygotowaniach do wyjazdu. Dowiedział się od listonosza niedawno o wspaniałej okazji, w sam raz dla takich jak on, którzy złamanego grosza od rodziny nie dostaną ani najlichszego hektara. Trwał gorączkowy nabór pracowników na ziemie odzyskane, bo ciągle nie było tam, po wojennych zawieruchach i wygnaniu rdzennych mieszkańców, komu żyć i pracować. Młodzi mieli pierwszeństwo w zasiedlaniu, aby jak najwięcej tej ziemi dzieci splodzili, zmazali polską krewią tę, co ziemię warmińską od wieków hańbiła, niedobłą, niemiecką. Pofatygował się chłopak do gminy, dostał przydział na pracę na kolei, tymczasowo jako stróż i sprzątac, ale z perspektywami nader zacnymi. Natychmiast jął świętować i z radości tańcować, niezbicie przekonany, że na ten moment wszystko, co do niego należy, z nawiązką wykonał. W domu Grzybów nie kiwnął palcem, gdy żona i jej siostry jak w ukropie się uwijały, w domu rodzinnym oszczędzano go, wszak siły powinien zachowywać dla swojej świeżo założonej rodziny, zatem Kostek przez kilka tygodni obrósł w piórka i spory brzuszek.

Wziął go pewnego dnia Władysław na stronę, gdy tamten akurat obgryzał kosteczki kurczaka i oblizywał ze smakiem palce, kontent, że żonka takie pychoty chętnie i z wprawą gotuje.

„Kostek, chodź chłopie, do pogadania mamy”, Władek zachęcił zięcia i udali się do dużej izby, by na osobności się rozmówić, gdy kobiety będą sprzątać po obiedzie. Chłopak niechętnie podźwignął się z krzesła, z ociąganiem dołączył do teścia.

„Ty wiesz, że Zosia mi oczkiem w głowie i to ją planowałem na dziedziczkę. Chciałem, by na gospodarce została, bo Czesiek niezdatny do pracy, a inne dziewczyny nie mają ni chęci, ni zdolności takich jak ta moja mała. Nie chcę, byś mi dzieciaka zmarnował, Kostek, poważnie ci mówię. Co ona tam na odzyskanych sama pocznie, z dała od rodziny? Z czego żyć będziecie, jak gospodarować, jak tam nawet kawałka ziemi, w której zawsze coś posadzić się da, by potem coś do gęby włożyć, gdy pieniędzy braknie?”

Zasypany pytaniami Kostek jął się usprawiedliwiać, że wyjścia nie miał, sam zachowku nie śmie się upomnieć, gdy jeden szwagier nogę stracił przez zakażenie, a drugiej siostry syn ciągle w szpitalach z powodu jakiegoś okropieństwa, przez które wzrok w prawym oku stracony, a lewe niepewne, czy się przed chorobą obroni. Na współczucie wziął Władka, na zrozumienie, po czym zapewnił, że Zosia będzie miała i ogródek warzywny, i opiekę, i jak hrabina będzie tylko nóżką machała, odpoczywała, a jak już odchowa trochę maleństwo, często gęsto do rodziny z wizytą przyjedzie, pochwalić się i pobyć ze starym ojcem i całym tu pozostawionym towarzystwem.

„Ja wiem, ojczu, że wy byście w razie czego mnie włosem z wąsa udusili, gdybym ja co Zosieńce złego zrobił, ukrzywdził, nie poszanował. Ale ja ją kocham nad życie i póki mi życia starczy, włos z jej ślicznej głowy nie spadnie. Obiecuję wam i słowa danego dotrzymam”, teatralnie bijąc się w pierś zapewnił Konstanty, szczęśliwy, że rozmowa dobiegła końca i spocony z nerwów jak królik po uniknięciu bliskiego spotkania z jastrzębiem.

Westchnął Władysław, niby przekonany, lecz wciąż bardzo żałował, że już niebawem rozstanie się z córką, swoją powiernicą i opoką. Poszedł do wychodka poczytać „Słowo Ludu”, bo tylko tam miał względny spokój, o który w rodzinnym rozgardiaszu i podnieceniu ostatnich przed wyjazdem Zosi dni było coraz trudniej. Co ma być, to będzie, w Panu Bogu nadzieja, że nie da mi dziecka zmarnować, pomyślał.

Nadszedł piętnasty dzień maja, piękny, słoneczny, pachnący kwiatami rzepaku, bzu i przygodą. Z samego rana trwało pakowanie – czegoż to państwo Jemiołowie nie wzięli. Kostek przyjechał wozem wraz ze swoim szwagrem, tym, co dziecko ma chore, lecz sam szczęśliwie nie inwalida, więc skłonny był pomóc, konia użyczyć i w podróży młodej parze w nieznane towarzyszyć. Na wozie piętrzyły się paczki, paczuszki, pakunki, zawiniątka, drobiazgi, a na honorowym miejscu Kostkowa harmonia. Matka Konstantego dała mu na nowe życie słoików gromadę, przetworów, grzybków marynowanych ulubionych, worki z ziemniakami, cebulą, marchwią, jeszcze z zeszłorocznych zbiorów, żeby miał synek co jeść przez lato. Zadbała o synową również, podając kilka kop jajek pożywnych, twarogu, placka drożdżowego, za którym Zośka przepadała, kilkanaście obrusów, serwet na szydełku robionych i dwie pierzyny. Z domu Zosia wzięła garnki, żelazko, chochle, sztućce, talerze, prześcieradła, pasiaki, kołyskę dla malucha, w której ona sama była lulana, korale z bursztynu, które otrzymała od matki w prezencie ślubnym, strój kurpiowski kościelny i swoje ubrania, starannie wykrochmalone i uprasowane. Dla dziecka wyprawkę w całości przygotowała matka Zosi, pracowicie robiąc na drutach od dnia, w którym dowiedziała się, że jej córeczka spodziewa się dziecka. Wszystkie te przedmioty zostały spakowane do wielkiego drewnianego kufra, zamykanego na kłódkę ciężkim, półokrągłym wiekiem i były życzeniem rodziny Grzybów i magicznym zaklęciem, by dziewczynie w tej samotności i dalekości tylko dobrze było. Cała ich miłość i to, co dobre od życia dostała, spoczywało bezpiecznie w tym jednym przedmiocie, który miał zapach domu, odejścia i powrotu.

Już kufer zamknięty, już czas na ostatnie słowa pożegnania. Zosia utuliła, wyściskała matkę, Józce kazała się dobrze sprawować i zaopiekować Czesiem, Władzia dostała na pamiątkę chustkę najpiękniejszą, czerwoną w żółte kaczeńce i niebieskie irysy, o którą obie toczyły awantury niemal co niedzielę, przed wyjściem do kościoła, Cześkowi dała kilka kamyków o dziwnym kolorze, bo od lat takie zdobycze kolekcjonował, a na końcu pożegnała się z ojcem. Sama się zdziwiła, jak trudno jest rozstać się z tym wysokim, surowym, do wzruszeń nieskłonny mężczyzną. Jak trudno puścić jego spracowaną dłoń, pachnącą wiatrem, słomą i cebulą, zostawić za sobą sylwetkę, której cień towarzyszył jej w życiu w sposób tak oczywisty jak codziennie wschodzące słońce. Jednak nie było odwrotu, czas jechać na swoje, swoją budować rodzinę i przyszłość.

Zmęczona emocjami, wyczerpana z wysiłku, przyszła matka w asyście męża i szwagra zdołała nie bez trudu wejść na wóz, rozsiadła się na przygotowanym pośłaniu i machała stojącej u bram rodzinie. Pies Perelka i pies Murzyn na przemian ujadły i wyły zawodząco, Józka biegła jeszcze czas jakiś za odjeżdżającymi, a Czesiek nawet nie ukrywał, jak mu przykro i szlochał wołając „Zosiulku, nie jedźcie!” i kręcił się w miejscu, wahając się, czy biec razem z Józką, czy zostać przy bramie.

Zosia otarła łzę rękawem, oczy wypatrywała do bólu, starając się nie mrugać, by jak najdłużej sycić wzrok ukochanymi widokami. Ręce jej spoczęły na brzuchu, ruchy maleństwa witała z przyjemnością, wtuliła się w mężowskie ramię. W końcu coraz mniejsze się zdawało gospodarstwo, już niknęło za horyzontem, już wieś Drężek została daleko, i Myszyniec, i Rozogi, i Kurpie Zielone. Nowe przed Zosią ziemie, nowe wyzwania i nowy czas, bycia matką, żoną i gospodynią, rządzącą niepodzielnie w swoim własnym niezależnym od nikogo gnieździe.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Margara, dodano 26.04.2016 18:18

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.